

GRZEGORZ KUBSKI

Uniwersytet Zielonogórski
Instytut Filologii Polskiej

**Dzieło zamknięte księdza Mariana Wolniewicza,
czyli nieznana liryka poznańskiego biblisty**

The Closed Oeuvre of Rev. Marian Wolniewicz: Unknown Lyric Poetry of the Poznań Bible Scholar

Od prośby lirycznego bohatera w sprawie zuchwałego ducha: *podaj mu, Ojczy, Twą dłoń wszechpotężną* (s. 13), do dopisku: *Przyjmij mnie u siebie, w miłosierdziu Twoim, bo u Twego Ojca wiele jest pokoi* (s. 252); między słowami bliżej nieznanego osiemnastolatka (rocznik 1919), a wierszem bardzo znanego, przynajmniej w Poznaniu, ale i wśród polskich teologów, osiemdziesięciosześcioletniego mężczyzny pokonanego przez chorobę nowotworową – zamyka się zawartość pewnej książki, w istocie zdumiewającej tak w panoramie polskiej poezji, jak i literatury konfesyjnej¹. Zdumiewającej choćby przez to, że zamyka w sobie twórczość ukrywaną przez ponad siedem dekad, a jednak jej rezultaty dobitnie świadczą, iż towarzyszyła temu zmierzaniu troska nie tylko o rejestrację przemyśleń, ale o wypowiedzi jak najbardziej artystycznie zaplanowane. Były one zaś konsekwentnie i wytrwale spisywane przez większość życia autora. Drugi z zacytowanych właśnie fragmentów pochodzi z utworu datowanego na „2/7, godz. 4 rano – 11.00”, powstałego na dwanaście dni przed śmiercią w 2005 roku.

Czy rzeczywiście ten zbiór całego życia miał być „pamiętnikiem duchowym”, jak zdecydowali redaktorzy edycji *post humus*? Jeśli zaś „pamiętnik”, to któż miałby być owym następcą czy potomnym, któremu się zostawia zapis własnych myśli? Zostawia się zaś niechybnie, jeśli nie zapisze się klauzuli: *po mojej śmierci spalić*; o której zupełnie nic nie wiemy.

¹ M. Wolniewicz, *Pamiętnik duchowy wierszem pisany*, wstęp: Z. Grzegorski, *Przewodnik po lekturze*, posłowie: F. Lenort, *Nota od redakcji*, Poznań 2008, ss. 256, Seria „Imiona Poezji”, 2, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza, Wydział Teologiczny.

Zgódźmy się, iż gdyby tutaj zaczynała się typowa recenzja kolejnego tomu wierszy dostępnych publiczności literackiej, trzeba by natychmiast zauważyć, że niejeden z utworów Mariana Wolniewicza może się legitymować udaną, wyrafinowaną szatą literacką, że ich finalny wyraz estetyczny jest wynikiem starannego wypracowania werbalnego i brzmieniowego układu, a ich twórcy są dobrze znane kwestie wersyfikacji czy intertekstualnej gry. Zatem książka dowodzi po prostu kultury literackiej autora. Ale są też w niej wiersze gorsze, jednak włączone przez wydawców, którzy chcieli dochować wierności przyjętej przez siebie idei, aby możliwie reprezentatywnie rozwijał się przed czytelnikiem ów – jak uznali – zapis życia duchowego, czyli aby w miarę zamknięta, skończona ukazała się liryczna – według nich – autobiografia.

Stało się zatem, że tom nazwany *Pamiętnik duchowy wierszem pisany* będzie – właśnie przez swój tytuł – czytany przede wszystkim jako pewna literacka całość, a wiersze, nawet gdy są rozmaite problemowo czy ideowo – co najwyżej będą się między sobą różnić jako ogniwa jednego cyklu. Każdy z nich otrzymuje zatem ramę, zostaje zamknięty sugestiami płynącymi z pozostałych utworów, które mu towarzyszą w tomie. Przypisany do miejsca w duchowej wędrówce, w której poprzedzające wiersze uściślają „przedtem”, a następujące wskazują „potem”, zbyt oczywiście się wydaje tropem odczytywanej treści egzystencjalnego momentu. A to działanie tekstu jako tropu potęgują niejednokrotnie autorskie dopiski dołączone do wierszy, podające czas lub miejsce powstania. Choć owe informacje, kilka razy przed końcem zbioru, ujawniają też zakłócenie chronologicznego uporządkowania układu.

Znałem osobiście ks. prof. Mariana Wolniewicza. Jestem jego wieloletnim poznańskim uczniem w zakresie nauk biblijnych. Znajomość trwała od seminarium magisterskiego przez licencjat kanoniczny, doktorat pod jego kierunkiem (i na skutek jego stanowczej propozycji, wręcz woli, bym pisał dysertację), przez nieoczekiwane perypetie mojej habilitacji. Trwała do samej śmierci Księdza Profesora. Znajomość, o której tu wspominam, nie była broń Boże poufałą zażyłością, lecz była też może na tyle głęboka, że pojawiła się w niej i sprawa poezji. Pojawiła się jakoś tak naturalnie i po drodze zupełnie innych spotkań. Zdawałem sobie sprawę, że dla Księdza Profesora ma jakieś specjalne znaczenie mój pierwszy wyuczony zawód – polonisty. Długo nie miałem pojęcia, cóż takiego w tym zawodzie intryguje mojego Mistrza. Po około dziesięciu latach naukowego przedstawiania wyjawiał mi, że pisze wiersze, że czyni to od bardzo dawna.

Takie usytuowanie życiowe mnie jako czytającego *Pamiętnik duchowy* powoduje automatyczne kojarzenie treści lektury ze wspomnieniami o konkretnym Człowieku, grozi więc zamknięciem na niejedno możliwe semantyczne otwarcie tego czy innego wiersza. Bo jakże czytając w tym tomie liryczne rejestracje przyrody uciec od coraz częstszych w rozmowach wynurzeń Księdza Profesora

na temat rozmaitych detali natury, przywoływanych przez niego szczególnie często z obserwacji jego młodości.

Jeśli już przy tych rozmowach jesteśmy, to uderza nie tyle zbieżność z niektórymi wątkami konwersacji, co właśnie brak tylu istotnych tematów, które Ksiądz Profesor inicjował z zapałem i namiętnie. Brak więc niemal zupełnie w wydanym wyborze wierszy silnego emocjonalnego odzewu na bieżące wydarzenia publiczne, sprawy kraju, którymi żył tak serdecznie, jak to było chyba charakterystyczne dla większości z jego pokolenia. Brak zauroczenia specyfiką poznańskiej mentalności, chętnie przez niego ogarnianej w zdaniach o znaczącym zaimku „my”, nieraz bezkrytycznego poczucia dumy z przynależności do czegoś, co być może dałoby się określić jako lokalny etos.

Tymczasem w opublikowanym zbiorze liryków „moje miasto” pojawia się tylko raz, w modlitewnej prośbie, i to spisanej „w ekspresie Warta – w drodze do Warszawy” (s. 133). Zupełnie nie ma odzwierciedlenia niepowtarzalnych uroków miasta, nastroju charakterystycznych szczegółów przez wieki i pokolenia wrastających w jedyną, niepodobną do innych przestrzeń, której o wiele więcej jest w prozą spisanej *Autobiografii*². Bo przecież długie ulice, bruki, latarnia, wieżowce, ba, nawet wynoszące się ponad wszystko wieże – zaistniałe w nielicznych wierszach tego autora – są w bardzo wielu miejscach na świecie. A jeśli już wyjątkowo w 2000 roku, na odsłonięcie pomnika Jana Pawła II po-brzmiał liryk lokalną dumą z początków Kościoła w Polsce, które zaistniały – być może – na naszym Ostrowiu Tumskim, to jakoś tak nie sięgnął urody wysławienia większości wierszy, jakby spisał go ktoś zupełnie inny („Rozpłakała się jesień jak dziecko...” – s. 225). Nawet przepiękny widok z okna większego pokoju mieszkania autora w Psalterii, budowli pamiętającej czasy wielkich poetów Klemensa Janickiego i Jana Kochanowskiego, zostaje potraktowany tak, iż odpowiada akurat licznym miejscom w Europie. A jest to widok ogarniający spory fragment fasady kościoła Najświętszej Maryi Panny, drastycznie blisko położonej, zatrzymujący dostęp światła słonecznego w pierwszych godzinach dnia i tłumiący wyłaniającą się spoza niego katedrę, czy raczej ogromniejącą jej wieżę południową. Stanowi kwintesencję miejskiej gęstości murów, cisnących się ku sobie, a niezwykłych sielskim pejzażom, ku którym ucieka wielokrotnie podmiot wierszy z *Pamiętnika*. Ten niepowtarzalny obrazek zza okna zapewne się odtworzy w myślach wielu, którzy bywali w mieszkaniu Księdza Profesora. W poetyckim zapisie zostaje zachowany, jakby tkwił wśród ścian niedobrowolnie zajmowanej celi czy znaczył może mury jakiegoś więzienia:

Zmęczyły się moje oczy / codziennym oglądaniem / strzelistych wież i okien / w gotyckim wykonaniu (s. 230).

² M. Wolniewicz, *Autobiografia*, w: *Scriptura sacra posnaniensis. Opuscula Mariano Wolniewicz octogenario dedicata*, Poznań 2002, s. 253-332.

Wprawdzie do okalającego go zewsząd gotyku w swoich rozmowach ze mną się nie odnosił, choć ja, mieszkaniec marnej dzielnicy z nijaką tradycją, zazdrościłem mu tak wysmakowanego otoczenia architektonicznego.

Przede wszystkim jednak brak w tych wierszach, jakby nie było z całego życia, owych barwnych, zindywidualizowanych typów ludzkich, często przez Profesora wyróżnionych we wspomnieniowych opowieściach imieniem i nazwiskiem, a zawsze zaopatrzonych w jakiś typowy gest, fizjonomię czy nawyk. Poza Chrystusem i Maryją inne postaci przedstawione w tej liryce są bezimienne. Jeśli przywoływani są najbliżsi, to kryją się pod ogólnymi nazwami: „rodzice”, „rodzeństwo”, „siostra”, „koledzy”. Inne przedstawiane osoby są pozbawione witalnej krewkości, żywszego temperamentu. Z wyjątkiem bohatera-adresata utworu *Na krzyżówce* (s. 78), z którym podmiot wymienia uścisk ręki na pożegnanie, są postaciami jakby fizycznie niedomkniętymi, jakby spoza bezpośredniego zasięgu. Kontakt z nimi spełnić się może tylko w jakimś przyszłym czasie w przestrzeni przypuszczenia. Szczególnie dotyczy to subtelnych, pięknych literacko erotyków, także obecnych w tomie. Takich jak te, inspirowane zarówno Pieśnią nad Pieśniami, jak i lekturami Asnyka, a czasami Tetmajera:

[...] *chciałbym na dłonie i wargi / dłoń ci położyć i usta / ażeby życie tchnąć nowe / w jałową duszy twej postać / i serce twoje na oścież / otworzyć chciałbym miłości / by sobie drogę szeroką / do niego mogła wymościć* (s. 80).

[...] *znaliśmy się tak krótko / znaliśmy się tak mało / stąd tylko strzępy, fragment / skinienie, słowo, uśmiech / jak błysk przelotny słońca / nietrwałą pamięć muśnie / lecz czasem żal za gardło / z nadludzką chwytą siłą / że ogień nie zapłonął / co mogło żyć – nie żyło* (s. 151).

Bo tak naprawdę dotykającym swą dłonią czy wzrokiem, sięgającymi wypowiedzianego się w tej liryce jest przede wszystkim Pan, jawiący się antropopapatycznie – jak Adamowi, jak patriarchom czy psalmistom. To On wchodzi w przestrzeń i zdobywa bliskość:

[...] *czy w tłum ludzki się zaszyję / gdzieś w dalekie zbiegłszy kraje / czy mrok leśny mnie okryje / czy w pustkowiu się utaję / próżno chowam się i chronię / i daremnie wciąż uciekam – / wszędzie twe przebite dłonie / i Twa miłość na mnie czeka* (s. 81).
Czy to ja idę do Ciebie / Czy też Ty do mnie przychodzisz / I wyrwasz mnie z ziemi / Jak ogrodnik wyjmuję / Ze szklarni rozsadę / I pikuje w ogrodzie (s. 179).

Ograniczenie przez podmiot wierszy zakresu obserwacji zewnętrznosci, wyglądom przede wszystkim do przyrody, powoduje również blokady zaistnienia zindywidualizowanej przestrzeni urbanistycznej. Jawi się ona zresztą przeważnie jako obca, nieprzyjazna, gdyż inna niż sielska. Tak jest, nawet gdy chodzi o „moje miasto” (*Daj ciszę mojemu miastu / hałaśliwym ulicom / spokój leśnej drogi* – s. 133). Unikanie zewnętrznej obserwacji obiektów innych niż natura odbiera też szansę portretowania. Do takiego bowiem potrzeba by rozbu-

dowanej palety tonów fizjonomiki czy znaczących sekwencji przedmiotów oddających osobowość użytkowników. Dlatego pełnym ewenementem w całym opublikowanym zbiorze jest jeden wiersz, w którym ukazuje się postać właśnie za pomocą ewokacji przedmiotów, przez wydobywanie ich z epickiego dystansu przeszłości:

Tyle już lat upłynęło / a ja wciąż jeszcze pamiętam / sukienkę, którą przed wojną / sprawiłaś sobie na święta / i te sandalki plecione / z wyciskanego rzemienia / które ci z nogi spadały / trzeba je było wymieniać / i ten pierścionek z metalu / za okupacji zrobiony / który nosiłaś codziennie / dla osobistej obrony (s. 115).

Właśnie obecność tego co minione, ale nie tylko jako prywatna historia, przez szczególnie możliwa do zapamiętania przez bardzo bliską osobę, np. domownika, bo również jako organiczny motyw zbiorowych dziejów, nawet polityki – nie przynależy do tendencji obrazowania zaznaczającej się w całym tomie.

Już te kilka powyższych zestawień, do których posłużył tak wadliwy dokument, jakim są wspomnienia piszącego niniejszy artykuł, dają wyobrażenie o bardzo, bardzo daleko idącej selekcji wrażeń i obserwacji, o radykalnej redukcji materiału mentalnego dokonanej przez liryka. Więcej nawet – upoważnia do poszukiwania w prezentowanym zbiorze nie tyle i nie przede wszystkim zreczenie spisywanego notatnika myśli szczególnych, lecz dostrzeżenie poetyckiej artykulacji. Te wiersze nie są próbą uchronienia wszelkich najważniejszych intymnych oraz najdroższych fascynacji duszy, lecz jeśli nawet już – to tylko takich jej poruszeń i błysków, które nadawałyby się na poezję.

Ksiądz Profesor żył bowiem, jeśli tak można rzec, poezją bardzo intensywnie. Mianowicie intensywnie na tyle, na ile pozwalały mu na to okoliczności, np. wielkość ciężaru podstawowych obowiązków. Było to pod pewnym względem życie alternatywne, choć nie w takim znaczeniu, aby kwestionowało w jakimkolwiek stopniu to jego ogólnie znane, publicznie dostępne. Jak powiedział, pisanie było jego hobby. Było – jako takie – formą spędzania czasu oraz – co ważne – szczęśliwą możliwością wytchnienia. Po godzinach strawionych na dopasowywaniu słów, na komponowaniu myśli, czuł się ożywiony, czuł powrót dobrego samopoczucia czy nawet smak szczęścia, odzyskanie harmonii równoznaczne nawet z udanym wyjazdem na krótkie wakacje. Oczywiście, tak określił te komponenty swojego wypoczynku z zapełnianą piórem kartką, gdy nie chodziło jeszcze o rejestrację doświadczenia śmiertelnej choroby, mimo że w zapamiętaniu miał już wiersze o cierpieniu.

Był zatem człowiekiem w pełni doświadczającym radości tworzenia, radości trudnej do porównania z jakimkolwiek innym przeżyciem, w zasadzie nieprzekładalnym na substytuty. Działo się tak, żywił bowiem przekonanie, że gdyby Pan Bóg nie uczynił go księdzem, gdyby nie mógł lub nie miał być kapłanem, a byłby raz jeszcze młodym człowiekiem, który wybiera swą drogę, to byłaby

nią właśnie praca literata (gdzieś na dalszym miejscu sytuowało się pewnie czynne uprawianie sportu... np. boksu!). Nie porzucił jednak zupełnie tego pragnienia, lecz zamiast czasu zawodowego, przeznaczył mu czas wolny.

Właśnie radość dobierania właściwych słów – podkreślał – wciągała go niepomiarowo. Już jako chłopak w gimnazjum (prestżowym – bo u św. Marii Magdaleny w Poznaniu) czuł zadowolenie w pracy nad zadanymi tłumaczeniami na lekcje greki czy łaciny. Wtedy to szczególnie polubił poszukiwanie, przymierzanie takiego wyrazu w zdaniu, który byłby najbardziej fortunnym głosi-cielem treści. Docenił wówczas walory prostoty i naturalności brzmienia, które jak się wydaje, pozostały dla niego rozstrzygające o estetycznych jakościach wypowiedzi. Po latach tego będzie też poszukiwał kształtując formę swojego przekładu Ewangelii w redagowanej wspólnie z ks. Michałem Peterem Biblii Poznańskiej. Ileż razy zwracał uwagę, także w wykładach z egzegezy, że przecież Jezus i Ewangelista mówili potocznym językiem swego otoczenia. Poezja i Dobra Nowina jawiły mu się jako plony trudów w istocie podobnych czy nawet nierozdzielnych. Co do tego nie pozostawia wątpliwości zapisując swój ostatni w życiu utwór. Organiczne łączenie działania Ewangelii i słowa artystycznego było rozumiane przez niego jak zasada zasad. Uświadomili to sobie zapewne redaktorzy *Pamiętnika*, bo pokazali nam w edycji aż dwie wersje wiersza-programu, dokumentu przeistaczania ludzkiego mówienia w releksję znanych tekstów Biblii:

Niech w schludną szatę słowa / jak lniane płótno prostą, / odziewa się myśl jasna / [...]. niech słowo plon przynosi / dorodny i bogaty. (s. 240; por. s. 179).

Jasność i prostota myśli oraz naturalność brzmienia stanowią zatem dla Księdza Profesora kryterium piękna. Także „schludność” – w czym już ujawnia się on nie tylko jako ktoś o raczej klasycznych upodobaniach, co także nieodrodny poznaniak. Bo faktycznie był całym sobą i pod każdym względem jakimś wcieleniem schludności takiej, że mogłaby się wydawać nierealna. Lecz wróćmy do estetyki. Piękno – według niego – wyraża się w poezji koniecznym jej komponentem melodyjności, wydobywającym, jak to tylko możliwe, potencjał już obecny w „zwykłej” mowie. Jakże bardzo był tu zgodny z przekonaniem, które swego czasu sformułował sam Eliot:

[...] żadna poezja nie pokrywa się całkowicie z językiem, którym mówi i którego słucha poeta, ale powinna stać w takim związku z językiem potocznym, aby czytelnik mógł sobie powiedzieć: „Tak powinienem być mówić, gdybym umiał wypowiadać się wierszem.” Z tej to przyczyny najlepsi poeci współcześni wzruszają nas i dają nam wrażenie pełni doznania różne od jakichkolwiek uczuć, które w nas wzbudza o wiele nawet większa poezja dawnych wieków. Tak więc muzyka poezji musi być muzyką potencjalnie zawartą w mowie potocznej danego okresu. Znaczy to równocześnie, że musi być utajona w mowie potocznej miejsca poety³.

³ T. Stearns Eliot, *Szkice krytyczne*, przeł. M. Niemojowska, Warszawa 1972, s. 23.

*Pamiętnik duchowy
wierszem pisany*

Marian Wolniewicz



I choć znajdziemy w zbiorze Księdza Profesora i taką wyszukaną metaforę, jak *księżyc, dysk ręką atlety rzucony* (s. 92), to jednak cytowany wiersz *Tyle lat już upłynęło...* stanowi najbardziej reprezentatywną próbkę poetyki, do jakiej dążył. Oto zestaw potocznie naturalnych słów, w zupełnie niezaskakującym stylu, przez odpowiednią kompozycję spółbrzmień, przez zharmonizowanie akcentów staje się monologiem lirycznym. Oczywiście, podobnych zbiegów dosyć często próbowali już pożytywiści. Jednak zasadniczej inspiracji formalnej raczej należy się doszukać gdzie indziej.

Życie ks. Mariana Wolniewicza potoczyło się w ten sposób, że sprawy wielkiej literatury znajdowały się parokrotnie w jego zasięgu. Najpierw podczas nauki w Gimnazjum św. Marii Magdaleny w międzywojennym Poznaniu, gdzie języka polskiego uczył go, wtedy już znany poeta, Wojciech Bąk. Wprawdzie autor interesujących nas tu liryków przyznawał, że w owych latach szkolnych ich, uczniów poety nie zajmowała jeszcze wcale sprawa twórczości polonisty. Później, zaraz po wojnie, gdy ksiądz był studentem w Lublinie, znalazł się w orbicie bezpośredniego oddziaływania domu Juliusza Kleinera. Żona słynnego historyka literatury sprawowała bezpośrednią opiekę nad pewną grupką studentów, którzy w tamtym miejscu i czasie byli pozbawieni bezpośredniego zaplecza własnych rodzin. Zdarzało się więc, iż gdy ks. Wolniewicz bywał u Kleinerów, stawał się mimowolnym świadkiem, jak znany uczonec ćwiczył na głos przed lustrem, wraz z odpowiednią gestyką, wygłoszenie przygotowywanego wykładu.

Zetknięcie się z dwiema tak wielkimi indywidualnościami nie pozostało, jak się wydaje bez echa. Po raz kolejny utwierdziło bowiem przyszłego wykładowcę, a już poetę, w znaczeniu, jakie naturalność brzmienia frazy odgrywa w porozumiewaniu się za pomocą mowy. Jednak uderza niewątpliwie konsekwentny wybór prostoty środków poetyckich, ostentacyjne ignorowanie możliwości, które stwarzały w swych eksperymentach z językiem nowe, awangardowe poetyki, przecież dobrze zadomowione w polszczyźnie, a nawet generujące pewien kanon dobrego smaku literackiego. Uderza upór i konsekwencja rymowania, nieczęstego przecież w literaturze wysokiej tego czasu. Spokojna, wnikliwa analiza warsztatu literackiego wierszy z *Pamiętnika duchowego*, na którą nie pora w niniejszym szkicu, pokazałaby bez trudu, że wyrafinowane, niezwykle starannie dopracowane struktury wersyfikacyjne wielu liryków ks. Wolniewicza przemawiają za przypuszczeniem, iż z powodzeniem poradziłby sobie z innymi, bardziej aktualnymi konwencjami poetyckimi.

Na trop źródła estetycznej inspiracji wspomnianych decyzji autorskich mogłaby prowadzić obecność w zbiorze utworów pożyczonych z dorobku innych poetów. Pojawiają się nam dwaj Francuzi, Paul Bourget (s. 68), który wprawdzie był głównie prozaikiem, ale i Henri de Régnier. To krąg symbolizmu. A zatem krąg twórczości bardzo bliskiej nauczycielowi Księdza Profesora. Właśnie Wojciech Bąk interpretował formę u jednego z takich twórców, mianowicie u Paula

Verlaine'a, jako zawierającą *głębką prawdę przeżycia, wypowiedzianą z szczerością i bezpośredniością wprost dziecięcą w tonie, a dojrzałością normalną dojrzałego człowieka*. O którymś z tomów tego mistrza słowa stwierdził, że jest „jakby zupełnie formalnie niezależny od okresu, w którym został napisany – nawet w technice nie narzuca się innowacjami błyskotliwymi i odwracającymi uwagę czytelnika od istoty przeżycia”⁴. Właśnie też Bąk przypominał, co znaczy pojęcie „poezji czystej” w ujęciu takich znakomitości, jak Stéphane Mallarmé czy Paul Valéry – *to znaczy 'czystej' od zagadnień politycznych, społecznych, obyczajowych*⁵. Nie da się zaprzeczyć, już nawet po najpobieżniejszej lekturze *Pamiętnika duchowego*, że taka najczęściej jest Wolniewiczowa liryka.

Tu warto przypomnieć, że nie kto inny jak Stéphane Mallarmé uczynił z pisania akt trwający tak jak życie poety. Od pewnego momentu tworzył już jedno dzieło, którego każdy kolejny utwór był tylko częścią, układał swą *Księgę*. I na pewno zajmująca nas tutaj liryka poznańskiego bibliisty jest jak najdalsza od podejmowanych przez Francuza prób na wytrzymałość składni języka. Mimo to warto mieć ją na względzie, gdy czytamy ten liryk, zanotowany niemal dokładnie w dziewięć lat (bez jednego dnia) przed jego śmiercią:

Odłożyłem znów kartę / nierówno zapisaną / dość gęsto wieczorem / a bardzo skąpo rano / [...] nie wiem ile kart jeszcze / do pisania zostało / skoro tych zapisanych / jest przecież niemało / nie wiem, co w nich napiszę / ani w jakim kolorze / na ostatniej z nich imię / i nazwisko położę (s. 195).

Całemu tomowi towarzyszą liczne zbieżności z dorobkiem Wojciecha Bąka, tak w zakresie poetyki, jak i tematu, jak i długu zaciągniętego wobec francuskich poetów. Nie jest pozbawione racji przeświadczenie, że mamy do czynienia wręcz ze świadomym gestem poetyckiej emulacji, i to trwającym przez całe życie. Lecz jest to emulacja bardzo dokładnie przemyślana i twórcza. W najwcześniejszych wierszach, tych z lat czterdziestych, dostrzegamy jeszcze nawet próby pisania sonetów, a więc szczególnie ulubionego gatunku nauczyciela ze św. Marii Magdaleny. Lecz wkrótce ta forma nie będzie już Księdzu Profesorowi potrzebna, wiersze staną się prostsze. Z kolei gdybyśmy pokusili się o zestawienie jego tomu z *Modlitewnikiem* Wojciecha Bąka, to lista analogii by się na pewno wydłużyła, szczególnie gdy chodzi o wątki ściśle religijne, w tym – sytuację człowieka wobec Boga, a także – dla przykładu – wspaniałe utwory poświęcone Przenajświętszej Maryi Pannie. Te ostatnie pióra Księdza Profesora – co wymagałoby osobnego artykułu – zdecydowanie powinny wejść do kanonu polskiej poezji maryjnej. Ale takie zestawienie pokazałoby i to, że u Bąka, podobnie jak w modlitewnikach użytkowych, książeczkach do nabożeństwa, są liczne odnie-

⁴ W. Bąk, *Wyznania i wyzwania*, wybór i przedmowa S. Jończyk, Warszawa 1968, s. 232.

⁵ Tamże, s. 235.

sienia do rzeczywistości sakramentów świętych i liturgii, tego zaś w ogóle nie ma u Wolniewicza! Za chwilę jeszcze do tego powrócimy w rozważaniach.

Ostatnie lata lirycznej twórczości Wojciecha Bąka są w istocie jej tragicznym, przerażającym regresem. Albowiem poeta poddany psychicznym torturom przez władze komunistyczne, poddany po prostu psychuszcze, tracił siły umysłowe i poetycką sprawność. Jego wiersze stawały się stopniowo coraz bardziej niezdarnymi rymowanymi rejestrującymi przerażające cierpienia duchowe, najbardziej realne, wcale nie będące fikcją literacką. Stawały się w istocie zapisami neurotycznymi.

Jasne, że Książd Wolniewicz nie rywalizuje w swojej poezji z tymi dokonaniami ciężko chorego człowieka. Ale jak myślę, dałoby się pokazać, że przejmując od niego niejedną myśl i poetycką wrażliwość, i słuch warsztatowy. Przejmując – przede wszystkim – tej twórczości ducha. Przejmując, by wytrwale pracować nad wysubtelnieniem formy, tchnąć w nią nie tylko jasność nastroju, ale i elegancję wystudiowanej prostoty. A im późniejsza pora jego życia, tym chętniej wypełnia te wiersze słowami „spławionymi” – że użyjemy tu określenia złotników i hagiografów – we własnych tłumaczeniach Ewangelii do Biblii Poznańskiej. Wtedy też wnika w jego teksty sporo reminiscencji lamentacji z Pisma Świętego – tu znowu odzywa się podobieństwo do późnej twórczości Bąka – szczególnie z Psalmów 6 (np. s. 194, 228), 10 (s. 176) czy 119 (np. s. 245).

Swe liryki coraz częściej wypełnia tymi tłumaczeniami – aż do chwili kiedy zapisze ostatecznie słowa przed śmiercią. Te słowa będą kompilacją fraz psalmicznych (równocześnie – liturgicznych) oraz 2 wersetu z 14 rozdziału Ewangelii św. Jana. Zapis Janowej frazy stanowi też zamknięcie wieloletniego aktu tłumaczenia. Ostatni Wolniewiczowy przekład tego miejsca okaże się najtrafniejszy spośród dotychczas dawanych w polszczyźnie, gdzie tradycja poprzedników ciągle narzucała „mieszkań wiele”. Rację miał Książd Profesor w swoim ostatnim zapisie. Przecież nie może chodzić o mieszkania w kamienicy, choćby dawał je najszlachetniejszy wynajmujący. U Ojca Pana Jezusa zaś może być przygotowane dla nas, Jego dzieci tylko „wiele pokoi” (s. 252). Tekst grecki nie pozostawia wątpliwości – metafora użyta u ewangelisty wykorzystuje znaczenia związane z miejscem docelowym, miejscem postojowym, odpoczynku – więc pokoju.

Nie wiem, czy Książd Wolniewicz znał wczesne rozważania Rolanda Barthesa o języku komentarza, o tym jak staje się on dopiero doskonały, gdy tożsamy z językiem tłumaczonego dzieła. Wobec zamknięcia twórczości poetyckiej *Pamiętnika* metaforyczny obraz zafundowany przez francuskiego uczonego wydaje się jakże odpowiedni – oto liryczne słowo tłumacza Biblii u kresu wnika zupełnie w słowo dane przez Boga i tak się wypełnia. Osobiste i uniwersalne staje się tym samym.

To wszystko wywołuje pytanie o podmiot tych liryków, o konsekwentnie podtrzymywaną kreację głosu. Zgodnie z założeniami poezji „czystej”, jest on

w większości pozbawiony charakterystyki środowiskowej, socjologicznej. Skoro nawet wiemy, że czytamy utwory kapłana, to niewiele znajdziemy jasnych tego sygnałów werbalnych. Gdzieś w juveniliach, dyskretnie zaistniał szczegół wskazujący, że mówiącym jest alumn. Nie jest to jednak szczegół decydujący o przesłaniu. Gdzieś później wspomni się o dystansie do otoczenia purpuratów. Dopiero pod koniec tomu odczytamy frazę: *pokazałeś że Twe drogi / są miłsze niż świeckie* (s. 214), co niekoniecznie musi oznaczać wynurzenie księdza, ale równie dobrze kogoś kto zignorował drogi tego świata (Ps 25; J 15,18). Nie ma w tej poezji tak charakterystycznych dla twórczości literackiej księży odniesień do sprawowania liturgii czy do sakramentów. raz tylko wspomina się o Bogu „zakutym” w dogmaty wiary (s. 201). Tym bardziej nie ma odniesień do dzieł klasyki chrześcijańskiego, a przede wszystkim teologicznego piśmiennictwa, także chętnie eksploatowanych przez innych księży uprawiających poezję. Pewne reminiscencje dotyczą – z kolei – realiów życia zawodowego uczonego, ale są one także marginalne w budowaniu wymowy całego zbioru.

Autor tych liryków chętnie, i całkiem bez ironii, nazywał siebie w rozmowach „pobożnym księdzem”, „jednym pobożnym księdzem”. Wydaje się, że do materii poetyckiej zachował pierwszy z tych aspektów samookreślenia się – „pobożny”. To od razu wyznacza kreację ewentualnego współrozumiejącego z nim czytelnika. Takież odbiorca, niekoniecznie tylko ksiądz, może maksymalnie wiele sytuacji lirycznych współodczuwać w horyzoncie własnego intymnego świata. Ktoś taki u kogo nie ginie naturalna potrzeba, by „u stóp Twych klęknąć zwyczajnie” i z Bogiem ogarniać powszednie przeżycia – *powtarzające się co dzień / chociaż każdego dnia inne* (s. 91). Jak się wydaje – często ją dziś bez zastanowienia rugujemy, niezależnie od przynależności do tego czy innego stanu kanonicznego. Z tego powodu *Pamiętnik* może być szansą odkrycia tekstów niejednej pięknej modlitwy, równocześnie starannie poetycko opracowanej i fortunnej pod względem możliwości częstego używania (w czym zachodzi akurat zdecydowana różnica z *Modlitewnikiem* Bąka).

Inna sprawa, że formacja kapłańska zaważyła jakoś na przesłaniu tomu – co pewnie było nieuniknione. Wprawdzie Ksiądz Wolniewicz pousuwał schematy teologicznych, jak również środowiskowo nacechowanych skojarzeń z języka lirycznych monologów, by nie zamknąć ich ogólnego, „czysto” ludzkiego wydźwięku. Mimo to lata studiów teologicznych, a pewnie i dydaktyki akademickiej w tym zakresie wydatnie zdeterminowały jego postrzeganie kondycji jednostki. Jako wtórny efekt pracy poetyckiej, nieznaczony nawet specjalnym słownictwem, wyłania się bowiem z jego wierszy pewien typ bohatera literackiego, zbieżny z prezentowanym w teologii ascetycznej. Ten bohater jest naznaczony przeżyciem Boga w mistycznych wymiarach swojej egzystencji. Ksiądz Profesor nie daje pełnej panoramy poetyckiego obrazowania takiej drogi. Ale stany ducha, jakie kreuje lirycznymi monologami, należą do niektórych ogniów

klasycznego paradygmatu katolickiej mistyki, takiego chociażby, jaki w teoretycznym dyskursie pokazał Tomasz Merton (jak wiadomo, także poeta).

Słynny trapista pisze w *Modlitwie kontemplacyjnej*, że nawet „najlepsi z ludzi” na drodze odkrywania *szczerzej i niezamaskowanej samoświadomości* natrafiają na *swoją nagość, niewystarczalność i złośliwość. Widzą w sobie uporczywe przywiązanie do kłamstwa, skłonność do niewiary*⁶. Tym bardziej jest tak, gdy człowiek usuwa z siebie źródła winy, gdyż nadal pozostaje w nim *skłonność do grzechu, buntu, skłonność do uchylania się i do fałszu* (jw.). Niejeden liryk Wolniewiczza oddaje swoistą fizjonomikę takich stanów duszy. Można wymienić tu wiersze *O chwałę Twoją nie dbałem wołając zbuntowany...* (s. 100), *Ciągle się z Tobą spieram...* (s. 101). W konsekwencji musi też się pojawić, wskazywany przez Mertona motyw „sługi nieużytecznego”⁷ zresztą często eksploatowany w twórczości Bąka. *Pamiętnik* dostarcza znów bardzo wiele przykładów, takich jak ten:

Puste są moje dłonie / i zasług nie mam żadnych / stoję przed Tobą nagi / samotny i bezradny / [...] dzieliłem nic nie mnożąc / miast zbierać – rozdawałem / aż przeszło w obce ręce / bogactwo moje całe (s. 93).

Ciężar próby pogłębia się jeszcze, gdy jak mówi Merton (jw.), człowiek pozornie traci przekonanie o istnieniu Boga, a zaczyna odczuwać strach przed pustką bez Niego:

Kochałem Ciebie dziwnie / po ludzku, niewytrwale / nie widząc Twej miłości / tak wielkiej, że bez granic / [...] i ciągle pytam siebie / czy szczerze Cię kochałem / czy w tragicznym złudzeniu / trwałem życie całe? (s. 223).

Tak samo jak w klasycznym paradygmacie życia duchowego opisywanego przez teologów, bohater liryku jest obciążony złymi pozostałościami własnego „ja”: *kochałem Cię kapryśnie / o sobie myśląc więcej* (s. 223).

Tak właśnie. Owo „kochanie”, wielokrotnie powtarzane na kartach tej książki, jest kluczem do poetyckiego zamysłu autora. I nie byłoby może w tym nic aż tak oryginalnego. Przecież metaforyczne powiązanie obrazu erotyki i religii, ale nie mniej często – miłości rodzicielskiej i Bożej są chyba najbardziej eksploatowanymi zasobami w długich dziejach europejskiej tradycji literackiej, ale i teologicznej. Nie mówiąc już o tym, że ów związek wyobrażeniowo-emocjonalny sakralizuje najwyższy wzorzec języka wiary, bo biblijny. Dotyka jednak spraw, które w każdorazowym egzystencjalnym konkretyzmie już przestają być banalne. Jest również chyba tak, że są niemożliwe do żywego uchwycenia w dyskursie dostatecznie adekwatnym. Spośród wypróbowanych form wypowie-

⁶ T. Merton, *Modlitwa kontemplacyjna*, tłum. M. Dybowski, Poznań 1986, s. 90-91.

⁷ Tamże, s. 91.

dzi liryka stwarza szansę kreowania obrazu, który poruszając jakąś wiązkę analogicznych odczuć u odbiorcy, pobudzając przeblysk myśli prowadzi do oświecenia – i to w tym wypadku przez dobrą wiarę – stanu jego duszy, sumienia.

Próba poezji „czystej”, dana w *Pamiętniku*, nie tyle epifanijnej, co teotropicznej, to poszukiwanie takiego wyrazu tej wiary, by odnaleźć ją w takiej świeżości, bez rutyny, że nawet konfrontowana z dotkliwą starością, nie przestaje być „pierwszym kochaniem”. Czym ono jest, zawsze niełatwo dociec, dopóki nie zdefiniują go ostatnie słowa. Tak odczytuję autorską decyzję o tym, by prawdziwy koniec dzieła, zamknięcie wskazał sam Bóg – zsyłając dzień i godzinę. O tej godzinie dociera też Jego słowo obietnicy wypowiedziane z jasnością, której wcześniej nie słucha się nigdy dostatecznie uważnie:

[...] *a kiedy pogardziwszy / samotnią Twą odchodzę / Ty rzucasz dla mnie wszystko / i szukasz mnie na drodze / przechodniów rozpytując / z tak wielką żalnością / jak gdybym właśnie ja był / jedyną Twą miłością...* (s. 82).

SUMMARY

Rev. Prof. Marian Wolniewicz is one of the most outstanding contemporary biblical scholars of the Poznań theological milieu. From his youth until the end of his life († 2005) he wrote personal lyric poetry. A selection of his poems was published posthumously by the Theological Faculty of Adam Mickiewicz University in a volume titled *A Spiritual Diary in Verse* edited by Feliks Lenort with an introduction by Zdzisław Grzegorski, a theologian and scholar of Polish literature. The poems predominantly express man's religious experience through impressions of the moment and feelings evoked by sights of the landscape, but the lyric subject does not define himself through realities characteristic of a priest and theologian. In his poetic attitude Rev. Marian Wolniewicz was inspired by the poetry of Wojciech Bąk and the French symbolists. Similarly to Stéphane Mallarmé he fulfilled the concepts of subsequent poems as a continuation of one single oeuvre which would finish with the death of the author. His last poetic notation was also his last attempt to translate a verse from the Gospel according to John.

Key words:

contemporary poetry, religious poetry, Polish literature, Bible scholarship in Poland